

PRL o smaku przygody. Rozmowa z Krzysztofem Potaczałą

Co charakterystycznego różni Bieszczady czasów obecnych od tych z epoki PRL-u?

Krzysztof Potaczała: Znaczna komercjalizacja, nadmierna w wielu miejscach zabudowa, o wiele większy ruch kołowy i turystyczny. Ale na szczęście zostały jeszcze enklawy prawie zupełnie dzikie, gdzie samochodom wstęp wzbroniony. Jest też zakaz osiedlania się. To dobrze, że takie rejony są chronione. Ukazują prawdziwe piękno i niepowtarzalność Bieszczadów.

W rozdziale „Wilk wyjęty spod prawa” swojej książki przedstawił Pan najskuteczniejszych myśliwych tamtych czasów. Na wilki polowano bez pardonu. Co decydowało o przekonaniu, że całkowite wyeliminowanie wilka jest potrzebne?

Wydaje mi się, że dość dokładnie opisałem to w pierwszej części „Bieszczadów w PRL-u”. Moim zamiarem nie było dotarcie do najskuteczniejszych myśliwych z tamtych lat, lecz do żyjących jeszcze łowców, którzy brali udział w usankcjonowanej prawnie przez rząd tzw. akcji wilczej. Myśliwi spoza Bieszczadów przyjeżdżali tu w dużej mierze po to, żeby zdobyć upragnione wilcze trofeum. Ale miejscowi, którzy na co dzień zmagali się z watahami i rzeczywiście mieli z nimi ogromne problemy, podchodzili do akcji nieco inaczej. Uważali, że muszą zredukować populację wilków, bo w przeciwnym razie drapieżniki nie tylko doszczętnie wyrzną jelenie i dziki, ale także zwierzęta gospodarskie.

W książce przytaczam przykłady, jak wilki wchodziły do wsi, na jakie zwierzęta napadały i jak stały się zagrożeniem dla ludności, choć nie zanotowano przypadku, by kogoś zaatakowały.

W rozdziale „Niedźwiedzie pod lufami dygnitarzy” pisze Pan: „Za Polski Ludowej w Bieszczadach zastrzelono co najmniej pięć niedźwiedzi”. Czy można spodziewać się, że było to o wiele więcej?

Wydaje mi się, że dość dokładnie opisałem to w pierwszej części „Bieszczadów w PRL-u”. Moim zamiarem nie było dotarcie do najskuteczniejszych myśliwych z tamtych lat, lecz do żyjących jeszcze łowców, którzy brali udział w usankcjonowanej prawnie przez rząd tzw. akcji wilczej. Myśliwi spoza Bieszczadów przyjeżdżali tu w dużej mierze po to, żeby zdobyć upragnione wilcze trofeum. Ale miejscowi, którzy na co dzień zmagali się z watahami i rzeczywiście mieli z nimi ogromne problemy, podchodzili do akcji nieco inaczej. Uważali, że muszą zredukować populację wilków, bo w przeciwnym razie drapieżniki nie tylko doszczętnie wyrzną jelenie i dziki, ale także zwierzęta gospodarskie.

W książce przytaczam przykłady, jak wilki wchodziły do wsi, na jakie zwierzęta napadały i jak stały się zagrożeniem dla ludności, choć nie zanotowano przypadku, by kogoś zaatakowały.

Nie zaryzykowałbym takiej tezy. Można przypuszczać, że zabitych niedźwiedzi było nie pięć, lecz siedem, natomiast nie sądzę, żeby pozwolono sobie na więcej. Mimo pewnych przywilejów władza ludowa zdawała sobie sprawę, że jednak podlega ocenie społecznej. W polowaniach uczestniczyli przecież miejscowi leśnicy i myśliwi, którzy potem opowiadali w domach o swoich przeżyciach i odczuciach. Chcę jednak zaznaczyć, że nie mam wiedzy o ewentualnie skłusowanych niedźwiedziach - nie przez dygnitarzy czy inne osoby mające pozwolenie na broń myśliwską, lecz zwykłych kłusowników.



Młody jeździec w okolicach Połoniny Wetlińskiej, lipiec 1966 r. Fot. Archiwum Krzysztofa Wiktorowicza

Najbardziej zaskoczył mnie opisany stosunek ludzi do węży w opowieści „Łowcy węży znad Sanu”. Dziś reputacja węży jest może odrobinę lepsza niż kiedyś, ale dystans i ogólna niechęć dominują. Czy widać jakieś zmiany w stosunku do nich, w tym do węża Eskulapa?

O ile zmija to wciąż gad, którego większość ludzi się boi, to akurat węże Eskulapa są postrzegane pozytywnie, a w niektórych rejonach Bieszczadów nawet z sympatią. Dotyczy to ludzi, którzy od lat żyją na tym terenie, zdążyli się przyzwyczaić do węży i je poznać. Duża w tym zasługa leśników i przyrodników. Oni cierpliwie przez lata tłumaczyli mieszkańcom oraz turystom, że węże Eskulapa nie tylko są niegroźne, ale pożyteczne.

Proszę sobie wyobrazić, że część zwykłych obywateli, tutejszych gospodarzy, zaangażowała się z czasem w ochronę tych rzadkich gadów. Są nawet dumni z tego, że Eskulapy udało się uratować przed zagładą i że upodobały sobie Bieszczady.

Niektóre opowieści wykraczają geograficznie poza Bieszczady, szczególnie te, które dotyczą „państwa arłamowskiego”. Czy ich wybór wiązał się z barwnymi i zarazem tajemniczymi dokonaniem przedstawicieli świata myśliwskiego tamtych czasów, jak choćby pułkownika Kazimierza Daskoczyńskiego?

Pułkownik Daskoczyński był ciekawą i barwną postacią, ale mniej interesowały mnie jego dokonania myśliwskie, bardziej zaś stosunek do żołnierzy, cywilów, relacje z podwładnymi, szerokie i kontrowersyjne plany rozwoju gospodarczego Bieszczadów. Jego autokratyczny styl zarządzania, a jednocześnie przebliski wrażliwości i empatii, musiały intrygować. I dlatego nie wyobrażałem sobie, by nie podjąć tego tematu. Ale w rozdziale jemu poświęconym są także opisy dotyczące polowań i gospodarki łowieckiej prowadzonej w strzeżonych przez wojska MSW ośrodkach hodowli

zwierzyny, nie tylko w Arłamowie, ale też w Trójcy i Muczmem.

Najbardziej pasjonująca w Bieszczadach jest ich niedostępność z lat 50. XX wieku. Czy mit dzikich Bieszczadów nie jest właśnie zbudowany na niedostępności obszaru w tamtych latach, choć wiadomo, że jeszcze przed wojną Bieszczady były znacznie bardziej zaludnione?

Pewnie coś w tym jest. Większość współczesnych miłośników Bieszczadów nie sięga do lat 20. i 30. zeszłego wieku, lecz pasjonuje się właśnie Bieszczadami z okresu wczesnej PRL.

Ruiny spalonych wsi po akcji „Wisła”, pozostałości leśnych bunkrów, wtórnie dziczejąca przyroda, wilki, niedźwiedzie... To wszystko było dla wielu bardzo fascynujące, miało posmak tajemnicy, załączka rodzącej się przygody. Zachęcało do odkrywania nieznanego wcześniej świata, do prób układania sobie życia po swojemu, z dala od cywilizacji. Niemało osób chciało zostać traperami, kowbojami, ale tylko niewielu się to naprawdę udało.

Dla mnie bohaterami z krwi i kości byli też wszyscy ci, którzy zdecydowali się tu przyjechać do pracy i dźwigać Bieszczady z ruin. W trzech tomach reportaży o Bieszczadach w PRL często oddają im głos.

Mit bieszczadzkiego kowboja upowszechniał m.in. wieloletni członek Pracowni na rzecz Wszystkich Istot, Henryk Victorini, którego wspomina Pan w rozdziale „Filmowy najazd”. Świat filmu urzekły Bieszczady tamtych lat. Czy w górach pozostało coś z czasów realizacji tych filmów, oprócz pana Henryka?

Pozostały tylko wspomnienia... To już w dużej mierze inne Bieszczady. Nie zmienił się jednak Henryk Victorini – to wciąż ten sam twardy, solidny, pracowity i wrażliwy na przyrodę człowiek.

Cały cykl dosyć licznie wypełniają postacie artystów, włóczęgów, ideowców różnej maści, samotników, którzy w Bieszczadach poszukiwali spełnienia i inspiracji. Czy bez nich obraz tych gór byłby inny?

To oczywiście. Wszyscy ci ludzie, pochodzący z różnych światów, o różnej mentalności, bogatych życiowych doświadczeniach nadali Bieszczadom charakterystyczny rys, którego próżno szukać w innych regionach Polski. Nigdzie indziej po wojnie nie osiedliła się tak wielobarwna mozaika – od ludzi szukających w Bieszczadach zapomnienia, wolnych ptaków, „sobiepanów”, po ułożonych inteligentów: przedsiębiorców, leśników, naukowców, architektów. Ten niezwykle ludzki konglomerat przyczynił się do tego, że Bieszczady wciąż mają niepowtarzalną duszę, swój klimat.

„Tęcza nad Tworylnem”, zamykająca cały cykl reportaży, kończy się dość smutno. Idylliczne wyobrażenie stworzenia miejsca, gdzie można być w naturze, w grupie różnych, ale przyjaźnie nastawionych ludzi, ustępuje powoli światu festynu z kiełbasą i popcornem – co wspominał Henri Schumacher. Czy nie uważa Pan, że to znak czasu – dzisiaj taka spontaniczna impreza, w takich okolicznościach przyrody, nie miałaby szans zaistnieć...



Uczestnicy zlotu Rainbow w Tworylnem, lipiec 1991 r. Fot. Andrzej Górski

Próby uczynienia ze zlotu Rainbow dostępnego wszystkim festynu miały miejsce nie w Tworylnem, lecz w Polanach Surowicznych w Beskidzie Niskim. Tworylne pozostało od tego wolne, dlatego do dzisiaj właśnie to, a nie inne spotkanie Rodziny Tęczy uważane jest za najlepsze ze wszystkich dotychczasowych, organizowanych od lat na całym świecie. Nie wiem natomiast, czy podobna impreza nie miałaby szansy zaistnieć współcześnie. Chyba wszystko zależy od idei i organizacji.

Jak Pan myśli, jaka będzie przyszłość wielkiego sztucznego zbiornika wodnego, Jeziora Solińskiego? Obiekt zagrożony jest zamulaniem, zanieczyszczeniami i techniczną śmiercią.

O samoistnym zamulaniu się zbiornika solińskiego opinia publiczna słyszy od lat, podobnie jak o jego zanieczyszczaniu ściekami z gospodarstw domowych oraz dziesiątek postawionych bez pozwolenia domków letniskowych, rozsianych wzdłuż całej linii brzegowej zalewu.

Od dawna samorząd Soliny zapowiadał ukrócenie procederu spuszczenia odpadów płynnych do jeziora (zaśmiecanie odpadami stałymi to także wielki, nierozwiązany problem), ale kiedy tego lata woda w wielu miejscach opadła i odsłoniła dno, odkryto sporo nielegalnych przyłączy. To trochę walka z wiatrakami, gdyż w miejsce tych zlikwidowanych powstają inne. I pewnie długo nic się nie zmieni, bo najpierw musiałaby się zmienić mentalność trucicieli. Oni przecież nie myślą w kategoriach dobra wspólnego, że zalew to perła Bieszczadów i że wszyscy musimy o niego dbać.

Czy lata wolnej Polski pozwoliłyby zebrać o Bieszczadach opowieści równie intrygujące jak te z czasów PRL? Wszak to już ponad ćwierć wieku, byłoby pewnie o czym pisać...

Każda epoka obfituje w ciekawe doświadczenia, z których warto czerpać. Okres po polskiej transformacji ustrojowej nie jest wcale mniej frapujący.

Przez lata był Pan związany z Ustrzykami Dolnymi, także z tamtejszą sceną muzyczną, napisał Pan historię KSU, najbardziej znanego bieszczadzkiego zespołu punkowego. Czy historie związane ze sceną muzyczną Ustrzyk - wszak grały tam inne zespoły: Spleen, Sekcja U, Pipineska, Rolka Papy, Pas Lądowania, Gubernia czy Nagie Zależności - nie wzbogaciłyby książek „Bieszczady w PRL-u”?



Krzysztof Potaczała. Fot. Bartosz Szymanik, Wydawnictwo Bosz

Wciąż jestem z Ustrzykami związany, nigdy ich nie opuściłem, kocham to miasto i w nim czuję się najlepiej. Co do sceny muzycznej Ustrzyk: to jednak nieco inna historia, wypływająca z innego źródła, nie chciałem jej mieszać z opowieściami o głębokich Bieszczadach, przyrodzie i życiu pionierów.

O muzyce, młodzieżowym buncie i subkulturze punk, bardzo ważnej nie tylko dla Ustrzyk, opowiada książka „KSU. Rejestracja buntu”. W sierpniu tego roku w wydawnictwie In Rock ukazało się jej poszerzone i zmienione wydanie, a historia KSU poprowadzona jest do czasów obecnych. Jeśli mogę na łamach DŻ polecić tę pozycję, jak również moje pozostałe książki o Bieszczadach – zachęcam do lektury.

Dziękuję za rozmowę.

Krzysztof Potaczała – dziennikarz, reporter. Publikuje w prasie regionalnej i ogólnopolskiej. Mieszka w Ustrzykach Dolnych.